

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

34

— Tak, ale pani dobrze zarabia...

— Im więcej ja zarobię, tem więcej mąż mój wyda.

— Mąż jest mężem. Lecz co pani powie, jeżeli mąż pani córki wyrzuci panią za drzwi?... A to mnie się zdarzyło, pani Blaisch...

Z łokciami opartymi na stole, z głowami pochylonemi nad filiżankami kawy, gawędziły z sobą z takim zajęciem, iż nie słyszały wcale, jak drzwi od mieszkania z wolna się otwierają i lekko się zamykają. Wychodziła Ludwika.

Młoda panna ubrała się i obawiając się, by pielegniarka nie sprzeciwiała się znowu jej wyjściu, wymknęła się po cichu. Nie mogła opanować się. Chciała koniecznie dowiedzieć się, co się dzieje z Piotrem i co znaczy jego milczenie. Nieszczęśliwy zawrót głowy, jakiego doznała niespodzianie u pana Duponta, przeszkodził jej uczynić to wcześniej. Obecnie Ludwika czuła się już lepiej i powzięła śmiało postanowienie... Jeżeli to będzie koniecznem, pójdzie nawet do Carteleque'ów.

Trzymając się ręką poręczy, zeszła wolno z trzeciego piętra. Nogi się jeszcze pod nią ugiwały i w głowie czuła szum. Po wyjściu na ulicę pociemniało jej w oczach. Minęło to jednak zaraz i młoda prasowaczka mogła iść. Z trudem, przystając po drodze, dowiekła się wreszcie na ulicę Laugier. Brakło jej prawie głosu, gdy pytała matki Ladroule:

— Czy niema dla mnie listu?... Nikt nie był?

— Niema listu... gul, gul, gul — odpowiedziała stróżka. — Lecz byli wczoraj... gul, gul... wieczorem panowie... Chcieli... gul... panią widzieć...

— Ach!

— Pani wyszła... Powiedziałam im to... gul...

Matce Ladroule istotnie zdawało się, że to powiedziała. Lecz miała tylko ten zamiar. Nie mogła bowiem wykrztusić z siebie żadnego zrozumiałego słowa.

— Poszli więc — bełkotała dalej — do pralni... gul, gul, gul...

— Dziękuję bardzo.

Ludwika pośpieszyła do pralni. Pani Lambert na razie była nieobecna. Korzystały z tego jej pracownice. Żelazka posuwały się wolno. Natomiast języki obracały się szybko. Rozmowa, ma się rozumieć, szła o Ludwice. Gdy niespodzianie ukazała się młoda panna, nastąpiło milczenie. Potem powstał hałas ogólny i wszystkie jednocześnie zaczęły mówić.

— Już? — zawołała Berta.

— Gdzie byłaś? — zapytała Helena.

— Jaką ma zbiedzoną minę! — zauważyła gruba Leontyna.

A wielka Julia zawołała swym ochryplym głosem:

— Cóż? Miłość wywróciła się już do góry nogami i dyabli ją wzięli?

— Czyż można wreszcie dowiedzieć się, kto to był ten fagas, który odniósł twój koszyk i dał od ciebie właścicielce czterdzieści franków — zapytała znowu Berta, zanim Ludwika zdołała choć słowo powiedzieć.

— Jakto? — szepnęła wreszcie młoda panna oszołomiona tym potokiem słów.

— Tak... Prosty jak słup i wygalowany od stóp do głowy.

— I który dał ode mnie czterdzieści franków?

— Tak...

— Nie znam go... Nikomu nie dawałam takich zleceń.

Znowu powstał ogólny krzyk.

— Naprawdę okrywasz się tajemnicą!

— Dał te pieniądze przy ras!

Ludwika odpowiedziała:

— Pan Dupont powiedział mi, że przysłał uprzedzić panią Lambert...

— Acha! — przerwała Berta. — Pojechałaś więc razem z klientem?

— Nigdzie nie wyjeżdżałam... Byłam chora...

— Chora?... Och! och! — zawołały razem.

Julia dodała:

— Nie potrzebujesz nam mydlić oczów!

Ludwika nie wiedziała, czy już się obudziła... czy też zaczyna się na nowo ten przykry sen z nocy...

— Nie rozumiem — szeptała. — Powiedzcie mi jednak, czy nikt się o mnie nie pytał?

— Ach! to inna sprawa! — odpowiedziała Berta. — Wczoraj wieczorem, gdyśmy miały odchodzić, zjawiło się dwóch panów!

— Dwóch panów tak szykownych, iż mogą mieć po dziesięciu takich lokai, jak ten, co tu był! — dodała Julia. — Dobrze wybierasz sobie towarzystwo!

— Pewnie się z nimi nie nudzisz! — dopowiedziała gruba Leontyna.

— Przeszli razem z matką Lambert do tego pokoju — mówiła dalej Berta. — Podśuchiwałyśmy jednak i patrzyłyśmy przez dziurkę od klucza.

— Była to jednak wizyta dla panny Dubois — przerywała Julia. — Panowie ci chcieli widzieć tylko pannę Dubois...

— Matka Lambert — opowiadała w dalszym ciągu Berta — powiedziała im, żeś właśnie ode ślała dwa luidory przez lokaja, który oznajmił, że już nie powrócisz... Starszy, wysoki i suchy, jak wiór, prosił, bym mu opisała tego lokaja... Potem zawołał: „To służący...”

Prasowaczka przerwała, by zapytać swych koleżanek:

— Jakie imię on wymienił?

— Roman — rzekła Helena.

— Nie... Karol... — poprawiła Julia.

— Tak! Karola Turnera! — przyznała Berta.

Wtedy młodszy, przystojny blondyn powiedział: „A więc z Karolem Turnerem miałaś rano rendez vous przed dworcem Cowicelles!”

— A co? — rzekła Julia. — Widzisz, że więcej wiemy, niż ci się zdaje.

— Ja — odezwała się gruba Leontyna — nie z tego wszystkiego nie rozumiem. W każdym jednak razie, jeżeli zajmują się tobą tacy eleganci, to ci źle nie jest.

— Z pewnością! — potwierdziła Julia, która nie chcąc okazać swej zazdrości, pokrywała ją nie zwykłą u niej uprzejmością.

Berta, czytelniczka romansów, zakończyła:

— Mogę powiedzieć, że przeczytałam teraz jeden rozdział ciekawej powieści.

Ludwika już nie słuchała. Tak jak poprzednio po wizycie Piotra zdawało jej się, że w mózgu wszystko jej się rusza, że czoło pęka... Jak wczorajszego dnia po przybyciu do pana Duponta głowę miała jakby ściśniętą żelaznymi obręczami i nie wiedziała, co się dokoła niej dzieje... tak i teraz myślała, że zaraz zemdleje. Nie było to jednak omdlenie. W chwilę potem szła już szybko przez ulicę Laugier. Wyszła z pralni i z domu, nie wiedząc nawet kiedy. I nie spostrzegając tego, rozmawiała z sobą głośno:

— Muszę iść do niego.

Po przybyciu jednak na bulwar Gaurion-Saint-Cyr zatrzymała się nagle.

— A jego rodzice?... — pomyślała. — Lepiej zatelegraować do niego.

Ruszyła znowu, by zająć na pocztę. Najbliższe

biuro pocztowe było na ulicy Bayen. Odegrało ono smutną rolę w jej życiu. Lękała się tam pisać. Postanowiła iść do drugiego biura na avenue Grand-Armée, do którego zwykle chodziła. Przeszła przez ulicę Laugier aż do bulwaru Pereire, skręciła na prawo, następnie weszła na ulicę Guersant i znalazła się znowu na bulwarze Gaurion Saint Cyr. Skręciła jeszcze na prawo i powróciła do miejsca, z którego wyszła. Zatrzymała się.

— Gdzie jestem? — zapytała się.

I znowu zagłębiła się w labirynt uliczek i szła długo. W dzielnicę tej nie było prawie domu, którego by nie знаła, obecnie jednak nie poznawała żadnego. Nie wiedziała nawet na pewno, czy je widzi. Śniła obudzona, a sen jej obejmował wszystko. Wyśnione osoby w umyśle jej mieszały się z temi, które przechodziły dokoła niej. Nagle stanęła znowu. Znalazła się przed dworcem Cowicelles. Zaprowadził ją tam przypadek. Narazie nie szukała już biura pocztowego. Myśl o pisaniu odbiegła od niej daleko. Tym razem wiedziała, gdzie jest. Spojrzała bezwiednie na zegar i ujrawszy godzinę nie tę, którą naznaczyła na spotkanie, rzekła głośno:

— On przyjdzie.

Zaczęła czekać. Policjant, którego posterunek znajdował się w pobliżu, zauważył tę młodą pannę, rozmawiającą z sobą głośno. Obserwował ją. Ludwika prowadziła w dalszym ciągu swą rozmowę z niewidzialną osobą. Wreszcie policjant, domyślając się, z kim ma do czynienia, podszedł do niej i zapytał:

— Pani czeka na kogo?

Młoda panna spojrzała na niego zamglonemi oczami i mruknęła coś niewyraźnie.

— Gdzie pani mieszka? — pytał znowu policjant.

Zrozumiała pytanie i chciała na nie odpowiedzieć, nie mogła jednak przypomnieć sobie swego adresu.

— Proszę iść ze mną.

Policjant dał znak przejeżdżającej dorożce, do której Ludwika siadła zaraz bez żadnego oporu. Dorożka miała na szczęście jakąś łączność z jej myślami.

W pięć minut potem komisarz policyjny XVII dzielnicy stwierdził, że młoda panna nie ma przy sobie żadnego dowodu, z którego możnaby dowiedzieć się, kim ona jest. Urzędnik pokiwał z litością głową przed tą łagodną, bladą twarzą o wielkich, obłąkanych oczach i rozkazał:

— Do głównej lecznicy!

XXIV.

Podczas, gdy Ludwikę wprowadzano do komisarzatu, Panajon szedł wesoło pod arkadami ulicy Rivoli. Wracał z Tuilleries Palace, gdzie sam na sam z Ewą wypił poranną czekoladę. Niebo było błękitne i wróble w ogrodzie, rozgrzane ciepłem słonecznym, świergotały radośnie, goniąc się wzajemnie.

„Jeszcze piękniej musi być na wsi — pomyślał złodziej. — Baronowa ma szczęście!”

Już osiemnaście godzin upłynęło od chwili, jak pani de Lagunan została więźniem.

„Jak ta miła dama spędziła pierwszą noc? — rozmawiał z sobą Panajon. — Muszę odwiedzić ją. Jeszcze jest za wcześnie... Nie można zjawiać się u ludzi o wschodzie słońca... A przytem winienem naprzód udać się na avenue Ternes... Tam mogą przybyć o każdej porze... Nie składam wizyty człowieka światowego, lecz lekarską...”

Złodziej zatrzymał się. Był na końcu arkad.

— Hop! — zawołał, podnosząc laskę.

Samochód podjechał do chodnika. Był to jego pojazd, który jechał za nim od Tuilleries Palace, gdzie długo czekał przed bramą hotelu. Pana-